



*Czasami mogą nosić w sobie jakieś mroczne tajemnice.
Można przez nie oglądać życie, ale można je przez nie również stracić.*

OKNA

EDYTA BUJAK

OKNA

EDYTA BUJAK



Copyright © Edyta Bujak

Copyright © Wydawnictwo Feniks Sebastian Niewiadomski, Łasin 2020

Wszelkie Prawa Zastrzeżone.

All rights reserved

Redakcja i korekta:

Anna Siwa

Anna Kinga Augustyńska

Monika Machał

Projekt okładki:

Justyna Sieprawska

Zdjęcie na okładce:

Autor: Ravid_Cohen

Źródło: <https://www.shutterstock.com>

Wydawnictwo:

Wydawnictwo Feniks Sebastian Niewiadomski

ul. Tysiąclecia 6A/20, 86-320 Łasin

www.wydawnictwo-feniks.pl

Redaktor Naczelny: Anna Fiałkowska-Niewiadomska

e-mail: redaktor.naczelnny@wydawnictwo-feniks.pl

Redaktor: Anna Siwa

e-mail: redaktor@wydawnictwo-feniks.pl

Promocja i marketing: Paulina Ampulska

e-mail: marketing@wydawnictwo-feniks.pl

Numer ISBN 978 83 668260 1 4

*„ ...Gdy światła zgasną i otworzymy nasze oczy
Gdzieś tam pośród ciszy, już mnie nie będzie
Odejdę
Niech słońce wypali się i wszędzie kolejne
Wspinając się przez jutro, już mnie nie będzie
Odejdę
I powiedz im, że nie mogłem sam sobie pomóc
I powiedz im, że byłem samotny... ”
– Chester Bennington¹*

¹ Cytat pochodzi z utworu „I’ll Be Gone” z płyty „Living Things” zespołu Linkin Park.
Tekst jest autorstwa Chestera Benningtona

19 Czerwca 1989 r.
(poniedziałek, 30 lat temu)

– Skacz! No, na co czekasz?!

Zaczyna się śmiać, tak jak robi to często. Tylko teraz jeszcze okropniej, coraz głośniej i głośniej...

– Jesteś nikim! Zwykłą, ślepą brzydulą w obrzydliwych okularach!

Zamykam oczy i podnoszę ręce do uszu. Zaciskam je mocno, najmocniej jak potrafię, żeby tylko zagłuszyć ten okropny śmiech! Krew pulsuje mi w skroniach.

Dłużej tego nie wytrzymam – myślę. – On ma rację. Muszę z tym skończyć!

Robię krok do przodu. Otwieram oczy i patrzę w dół. Na dziedzińcu nie ma nikogo, więc nawet nikt nie zauważy...

Jego śmiech i raniące słowa dudnią mi w uszach. Jeszcze jeden krok i wszystko się skończy. Wreszcie będę wolna! To takie proste... Kulę ramiona. Czuję się malutka, coraz mniejsza...

Ponownie zamykam oczy, zastanawiając się, czy jest ktoś, komu na mnie w ogóle zależy? Odpowiedź pojawia się boleśnie szybko. Nikomu nie będzie przykro, że moja ławka zostanie pusta, bo i tak nikt jej ze mną nie dzieli... Otwieram oczy i szybko odwracam głowę w stronę mojego oprawcy. Z pozoru niewinnie wyglądający chłopiec, o blond włosach i oczach błękitnych jak niebo, a zarazem zimnych i przerażających – tak bardzo kontrastujących z niemal anielską urodą właściciela, stoi jakieś dwa metry ode mnie i zaśmiewając się do rozpuku wykrzykuje:

– No skacz! Tylko zdejmij te bryle, bo ci się potłuką!

Przeszywam go zimnym, nieruchomym wzrokiem, zauważając ze zdziwieniem, że przestaję czuć cokolwiek, nawet strach. A potem, odwracając się szybko w stronę okna, w ułamku sekundy znikam za jego wielkimi drewnianymi ramami...

Czerwiec 2019 r.
7 czerwca (piątek)

JUDYTA

Upały w czerwcu tego roku były szczególnie uciążliwe. Był dopiero początek miesiąca, a skala termometru za oknem szpitala wskazywała niemal czterdzieści stopni. W takie dni wszyscy byli bardziej zmęczeni niż zazwyczaj, zarówno pacjenci, jak i cały personel.

Po raz już chyba setny z rzędu spojrzałam na zegarek ze złudną nadzieją, że wskazówki jakimś cudem przyspieszą wydłużając czas. Trzy po dwunastej. Jeszcze tylko godzina do końca dyżuru – pomyślałam, ciesząc się już na myśl o chłodnym prysznicu i wygodnym fotelu w domu. Zabrałam przygotowany wcześniej wózek z lekarstwami dla pacjentów i ruszyłam długim szpitalnym korytarzem.

Oddział geriatryczny Wojewódzkiego Szpitala był dzisiaj przepelniony. Otworzyłam szeroko drzwi jednej z sal i weszłam do środka, popychając przed sobą metalowy wózek. Pan Józef Laskowski, jeden z dwóch pacjentów leżących w „dwójce”, jak zwykle ucieszył się na mój widok.

– Kogo moje oczy widzą?! Piękna siostra Judyta! Co też dobrego siostrzyczka nam przyniosła? – Starszy pan uśmiechnął się do mnie szczerze.

– Niestety, tylko tabletki i kropelki, panie Józefie. – Odwzajemniłam jego uroczy uśmiech.

– Z rąk siostrzyczki nawet gorzkie kropelki smakują, jak miód!

– Życzę panu, żeby ten dobry humor pana nie opuszczał, mimo tych nieznośnych upałów!

– Wzajemnie siostrzyczko, wzajemnie...

Bardzo lubiłam tego osiemdziesięciodziewięcioletniego starszego pana, który, w przeciwieństwie do gburowatego sąsiada, był człowiekiem niesamowicie pozytywnie nastawionym do życia, zawsze uśmiechniętym.

W sali naprzeciwko atmosfera była mniej przyjemna. Od kilku dni leżała w niej Maria Modzelewska, starsza kobieta o bardzo nieprzyjemnym

usposobieniu. Kilka tygodni wcześniej, po nieszczęśliwym upadku z łóżka, złamała kość udową. Wszelkie zabiegi i terapie na oddziale geriatrici miały jej pomóc w powrocie do samodzielnego funkcjonowania. Niestety, pani Maria nie należała do najłatwiejszych pacjentek. Na mój widok od razu warknęła:

– Czego tu chcesz?!

– Przyniosłam lekarstwa, pani Modzelewska.

– Nie potrzebuję ich. – Odwróciła głowę w stronę ściany.

– Proszę je zażyć, poczuje się pani lepiej.

– Ależ ja się czuję znakomicie! – odburknęła oburzona.

– Rano skarżyła się pani na silny ból. Jeśli nie będzie pani przyjmowała leków, ból się nasili.

Starsza kobieta poruszyła się gwałtownie i spojrzała na mnie ponuro.

– Ile ty masz lat dziecko, żeby mi mówić, co jest dla mnie dobre?

Nie zwracając uwagi na jej komentarz, robiłam swoje, a ona już nic nie powiedziała, tylko mnie obserwowała. Odniosłam wrażenie, że myśli o czymś intensywnie. Patrzyła, jak stawiam na szafce kieliszek z tabletkami. Będąc, nadal pogrążoną w swoich myślach, powiedziała, bardziej do siebie niż do mnie:

– Co wy w ogóle wiecie o życiu?

Wzięta do ręki kieliszek, spojrzała podejrzliwie, zawahała się przez chwilę, a potem wysypała tabletki na dłoń. Przyjrzała im się dokładnie, po czym szybko wszystkie połknęła, popijając wodą ze stojącej obok szklanki. Na koniec fuknęła w moja stronę:

– Idź już sobie!

Wyszłam. Byłam przyzwyczajona do tego typu zachowań niektórych naszych pacjentów. Wiedziałam, że nie biorą się one znikąd. Najczęściej były spowodowane jakimiś niełatwymi przeżyciami z przeszłości. Czasem, przy dłuższym pobycie na oddziale, niektórzy z nich otwierali się i sami opowiadali o jakichś traumatycznych wydarzeniach ze swojego życia, wtedy łatwiej było ich zrozumieć. Zapewne nieprzyjemne usposobienie pani Modzelewskiej też miało jakieś głębsze podłoże.

Spojrzałam na zegarek, który szczęśliwie oznajmił mi, że moja zmiana dobiegła końca. Szybko dokończyłam podawanie lekarstw w pozostałych

salach, a potem odstawiłam pusty wózek i poszłam do dyżurki pielęgniarek na „przekazanie dyżuru”.

Zanim dotarłam do domu, miałam wrażenie, że mózg „zaczyna mi się gotować”. Chłodna woda spod prysznicza okazała się zbawienna. Zdawała się zmywać nie tylko pot z mojego ciała, ale też zmęczenie ze wszystkich jego komórek. Odprężona kojącą kąpielą, ubrana tylko w majtki i skąpy podkoszulek, wyszłam z łazienki i przez niewielki przedpokój przeszłam prosto do kuchni. Popatrzyłam na panujący wokół bałagan i obiecując sobie, że jak tylko trochę odpocznę, wszystko ogarnę, napiłam się zimnej wody prosto z kranu. Kiedy już zaspokoiliłam pragnienie, podeszłam do okna, otwierając je na całą szerokość i wyjrzałam na zewnątrz.

Widok miałam na niewielki parking, na którym stało kilka samochodów. Z jednego z nich właśnie wysiadał jakiś młody mężczyzna w granatowym garniturze. Obserwowałam, jak otwiera tylne drzwi swojego mercedesa, znika na chwilę we wnętrzu samochodu, po czym wynurza się z niego ponownie trzymając w ręku jakąś teczkę z dokumentami. Zastanawiałam się, czy jest przedstawicielem handlowym, czy może sprzedawcą ubezpieczeń? Kiedy chwilę później zamykał pojazd, poprawiając przy tym okulary i starannie wyprasowany garnitur, w którym musiało mu być niesamowicie gorąco, domyśliłam się, że rodzaj wykonywanej przez niego pracy wymagał od niego takich poświęceń i zaczęłam mu współczuć. Chwilę później sprzedawca czy też ubezpieczyciel udał się w sobie tylko znanym kierunku. Jeszcze przez moment podążałam za nim wzrokiem, a potem spojrzałam nieco dalej.

Zaraz za parkingiem znajdował się plac zabaw, który w te upały był prawie pusty, nie licząc dwóch znudzonych nastolatków siedzących na huśtawkach pomiędzy drzewami, wpatrzonych beznamiętnie w ekrany swoich telefonów komórkowych. Znałam ich z widzenia. Często włóczyli się po okolicy. Znani byli z chuligańskich wybryków, jak deptanie rabatek z kwiatami, pielęgnowanymi ze szczególną starannością przez starsze panie z osiedla, czy podpalanie śmieci w przydrożnych koszach. Zawsze zachowywali się bardzo głośno. Czasem zaczepiali też młodsze dzieci, które się ich bały. Kiedyś słyszałam, jak sąsiadka z klatki obok krzyczała do nich, kiedy malowali czerwonym sprayem jedną z ławek przy bloku:

– Łobuzy! Mieszkają na sąsiednim osiedlu, a chuliganić przychodzą na nasze!

Teraz siedzieli spokojnie. Sami, na opustoszałym placu zabaw. Ten niesamowity skwar z nieba powodował, że nie tylko nie chciało im się wymyślać chuligańskich dowcipów, ale też najwyraźniej nie mieli siły choćby na wymianę zdań między sobą. Patrzyłam przez chwilę na dwie postacie. Wyższy z chłopców, o blond włosach, zdawał się uśmiechać do ekranu swojego telefonu. Niższy, ciemnowłosa, zerkał raz po raz do telefonów – swojego i kolegi. Siedząc tak, nikomu nie wadząc, wyglądali na całkiem łagodnych, miłych młodzieńców.

Może wcale nie są tacy źli? – pomyślałam. – Po prostu tylko czasem nieodpowiednio się zachowują. Ale to przecież jeszcze dzieci...

Popatrzyłam z góry na ich młode, niewinne twarze.

Pewnie są na wagarach – dodałam w myślach, uśmiechając się do siebie.

Potem ogarnęłam wzrokiem cały plac zabaw. Były na nim zaledwie dwie huśtawki, na których teraz siedzieli chłopcy, piaskownica, karuzela i trzy różnej wysokości drabinki, cieszące się chyba największym powodzeniem wśród dzieci. Całość otoczona była drzewami, rabatkami kwiatów i ławkami przeznaczonymi dla rodziców. Zaciągnęłam się mocno świeżym, choć ciężkim z gorąca powietrzem, a potem, przymykając nieco okno, udałam się do salonu.

Pora odpocząć – pomyślałam.

Spojrzałam w stronę mojego ulubionego fotela, w którym najczęściej relaksuję się po pracy czytając lub oglądając telewizję. Teraz leżał w nim Ares, patrzący na mnie rozleniwionymi oczami.

Jest tak gorąco, że nawet nie chciało mu się wstać, żeby się ze mną przywitać – pomyślałam.

Wzięłam psa na ręce, przytulając go z całych sił. Usiadłam wygodnie w fotelu, sadzając go sobie na kolanach. Polizał mnie z wdzięcznością, po czym zamknął oczy i pogrążył się w spokojnym śnie. Pogłaskałam go z czułością, a on w odpowiedzi lekko poruszył krótkim ogonkiem. Ares mieszkał ze mną od kilku miesięcy i okazał się najwierniejszym przyjacielem, a także towarzyszem mojego życia. Zabrałam go ze schroniska. Był najbrzydszym stworzeniem, jakie można było sobie wyobrazić. Mały, chudy brązowy tułów, krótkie krzywe

łapy – jedna przykrótka, przez co pies kulał – i nieproporcjonalnie wielki łeb. Wzruszyła mnie bardzo jego historia, opowiedziana przez pracownicę schroniska. Ares został znaleziony w lesie przywiązany do drzewa. Był w przytulisku od roku. Nie był ładny, więc nikt nie chciał go zaadoptować. Spojrzałam głęboko w smutne, zrezygnowane oczy psa i już od pierwszej sekundy wiedziałam, że się zaprzyjaźnimy. Bez chwili wahania zabrałam go do domu i była to najlepsza decyzja, jaką kiedykolwiek podjęłam...

Dzwonek telefonu wytrącił mnie z zamyślenia.

Kto u diabła? – Spojrzałam na wyświetlacz – Monika.

– Hej, co tak długo? – Niemal krzyknęła moja zniecierpliwiona przyjaciółka.

– Cześć, Monika... Ten upał mnie spowalnia. Co u ciebie?

– Ja właśnie w sprawie tych upałów dzwonię. Chcę cię wyciągnąć na zimne piwo. Niedaleko mnie utworzyli nowy klub muzyczny. Skoczymy?

Wiedziałam, że to nie najlepszy pomysł, ale zwlekałam z odmową...

– Piwo? Dzisiaj? – spytałam niepewnie

– Czemu nie?

– Sama nie wiem...

Właściwie miałam ogromną ochotę na piwo. Zastanawiałam się nawet, czy nie kupić na wieczór kilku butelek, ale o wyjściu gdziekolwiek raczej nie myślałam.

– Judyta, jest piątek! Ja mam weekend wolny, a ty?

– Dyżur mam dopiero w niedzielę w nocy, ale...

– Żadne „ale”! Szykuj się, za godzinę jestem u ciebie!

Sekundę później usłyszałam sygnał w telefonie, oznajmiający, że mojej przyjaciółki po drugiej stronie już nie było. Nie pozostało mi nic innego, jak się przygotować.

Gotowa do wyjścia, czekając na Monikę, usiadłam wygodnie w fotelu i zamykając oczy, sięgnęłam pamięcią do marca zeszłego roku, kiedy to poznałam moją przyjaciółkę. Pamiętałam tamten dzień bardzo dokładnie.

Poznałyśmy się u mnie w domu, na kolacji z okazji mojej i Mariusza, piątej rocznicy ślubu. Nigdy nie lubiłam wystawnych imprez ani tłumów ludzi, więc rocznicę postanowiliśmy uczcić w kameralnym gronie. My dwoje

i najlepszy przyjaciel Mariusza – Adam, który miał przyjść ze swoją nową dziewczyną. Uśmiechnęłam się na wspomnienie tamtego dnia. Ja krzątałam się przy stole, rozkładając nienagannie wyprasowany, śnieżnobiały obrus, a na nim porcelanową zastawę. Mariusz w tym czasie szykował wystawną kolację, raz po raz obdarowując mnie słodkimi całusami. Byłam ubrana w czarną obcisłą sukienkę, a na uszach lśniły moje nowe kolczyki, prezent od męża. Rzadko noszę biżuterię, ale te kolczyki były naprawdę piękne, srebrne, wykładane czarnymi cyrkoniami... Idealnie pasowały do mojej sukienki.

Byłam ciekawa nowej dziewczyny Adama. Jednocześnie, znając go, brałam pod uwagę, że zapewne zobaczę ją pierwszy i ostatni raz, jak większość jego dotychczasowych partnerek. Adam był typem faceta, który lubi się dobrze zabawić i takie dziewczyny sobie też dobierał. Kiedy stanął w drzwiach z „wytapetowaną” blondynką w skórzanej mini, ledwo zakrywającej pośladki i kusej bluzeczce, z której wylewał się wydatny biust, wyglądało na to, że niewiele się pomyliłam. Jednak później okazało się, że Monika nie była „pustą blondynką”. Wyszło na jaw, iż jest bardzo inteligentną kobietą i złapałyśmy świetny kontakt. W dodatku, tak jak ja, była pielęgniarką. Pracowała na pediatrii, ale właśnie planowała zmienić oddział. Miałyśmy wiele wspólnych tematów. Poruszałyśmy też te poważniejsze, ale i poczucie humoru miałyśmy podobne, więc dobrze się razem bawiłyśmy.

Kiedy wszyscy uczestnicy imprezy pogrążeni byli w jakiejś dyskusji na temat pracy Mariusza i Adama, ja, już trochę zmęczona, poczułam, jak moje nieprzyzwyczajone do biżuterii uszy, zaczynają boleć od ciężaru nowych kolczyków. Zdjęłam je i odniosłam do stojącej na komodzie, drewnianej szkatułki, w której znajdowały się przedmioty mające dla mnie największą wartość. Była to zdecydowanie najodpowiedniejsza dla nich lokalizacja. Delikatnie odkładałam je na miejsce, kiedy nagle usłyszałam za plecami głos Moniki:

– Dlaczego je zdjęłaś?

Podskoczyłam zaskoczona, zupełnie się tego nie spodziewając, bo przecież jeszcze przed momentem żywo dyskutowałam z chłopakami.

– Przestraszyłaś mnie... – powiedziałam, a ona nagle zaczęła się śmiać

– Ej, Judyta, taka strachliwa jesteś?

– E, nie, może trochę zmęczona...

Zamknęłam szybko skrzynkę zastanawiając się, czy Monika do niej zaglądała. Jednocześnie uświadomiłam sobie, że właściwie nie ma to większego znaczenia. Przecież te moje „skarby” tylko dla mnie mają tak dużą wartość. Dla innych to tylko jakieś zwykłe „przedmioty” czy biżuteria. Objęłam Monikę za ramię i pociągnęłam ją w stronę stolika.

– Choć, usiądziemy.

Otworzyłam oczy. Pomyślałam o kolczykach. Tych, które miałam wtedy na sobie. Od tamtej pory ich nie nosiłam! Może dzisiaj mogłabym? Po chwili namysłu podeszłam do komody. Delikatnie otworzyłam wieko skrzyneczki, stwierdzając ze zdumieniem, że czarne cyrkonie błyszczą tak samo, jak tamtego dnia, a kolczyki leżą dokładnie w tym miejscu, w którym je wtedy zostawiłam. Tak, jakby czas się zatrzymał. Odruchowo sięgnęłam po nie, jednak w następnej sekundzie szybko cofnęłam rękę.

Nie, jednak nie – zdecydowałam w myślach.

Zamknęłam delikatnie szkatułkę, nie dotykając ani kolczyków, ani niczego innego z jej wnętrza i odłożyłam na miejsce.

Wróciłam na fotel, zamknęłam oczy i powróciłam do wspomnień sprzed roku...

Tego wieczoru wszyscy czworo świetnie się bawiliśmy do późna. Już następnego dnia Monika zadzwoniła do mnie z pytaniem, czy nie załatwiłabym jej pracy na moim oddziale. Poleciałam ją szefostwu i zaledwie miesiąc później już pracowałyśmy razem. Od tamtej pory byłyśmy niemal nierozłączne. Dziewczyna nadal spotykała się z Adamem. Mówiła, że nie ma między nimi wielkich uczuć, że tylko dobrze się razem bawią. Kiedyś spytałam, dlaczego z nim jest, skoro go nie kocha, wtedy nagle posmutniała i spojrzała gdzieś w dal.

– Tylko raz w życiu byłam zakochana. To była wielka miłość... – wyszeptała.

– I co się stało? – zapytałam szczerze zaciekawiona.

Monika nagle, jakby się ocknęła z zamyślenia i powiedziała zupełnie odmienionym, sztucznie wesołym tonem:

– Nic. Po prostu zmądrzałam. Przestałam wierzyć w miłość. Teraz się bawię facetami. I tobie też radzę przyjąć taką samą postawę – dodała, śmiejąc się w głos.

Zastanawiałam się, co takiego musiało się wydarzyć, że jej „wielka miłość” nie przetrwała, ale nie chciałam być wścibska, a ona nigdy więcej o tym nie wspominała.

Kiedy opowiadałam jej o Mariuszu, jacy jesteśmy razem szczęśliwi, jaki jest dla mnie dobry, tylko patrzyła i kiwała głową z powątpiewaniem.

– Jak ty mało wiesz o facetach...

– Co masz na myśli? – pytałam, nie rozumiejąc.

– Tacy są najgorsi.

– Jak to?

– Zapamiętaj sobie jedno – nie ma idealnych mężczyzn. Jak któryś się wydaje bez skazy, to znaczy, że po prostu coś dobrze ukrywa!

– Ale co Mariusz miałby niby ukrywać?

– Oj, Judyta, jaka ty jesteś naiwna...

A potem wydarzył się ten koszmar...

Pewnego dnia Mariusz wrócił z pracy wyraźnie pobudzony.

– Nasz projekt odniósł wielki sukces!

– Zawsze mówiłam, że jesteś najlepszy! Gratuluję, kochanie! Jestem z Ciebie dumna! – Pocałowałam go, mocno przytulając.

– To nie tylko moja zasługa. Cały dział nad tym pracował.

Uwielbiałam tę jego skromność i solidarność z zespołem.

– Nie zapominaj, że to ty kierowałaś tym projektem!

Podeszłam do lodówki i wyjęłam z niej butelkę schłodzonego szampana. Została zakupiona na urodziny Mariusza, które miały być niebawem, ale było jasne, że w tej sytuacji wypijemy ją dzisiaj.

– To co? Musimy to uczcić!

– Oczywiście, kochanie! Dzisiaj wypijemy szampana, a w najbliższy piątek jesteśmy zaproszeni na kolację do hotelu Sobieski. Prezes zaprosił wszystkich z działu razem z partnerami! Mam nadzieję, że masz wolne?

Spojrzał na mnie z nadzieją w oczach. Podeszłam do niego, objęłam czule i powiedziałam, całując go w policzek:

– Jeśli nawet mam dyżur, to się z kimś zamienię, przecież nie przegapiłabym takiej imprezy!

Imprezę niestety przegapiłam... Wszystko przez okropnego wirusa, który skutecznie unieruchomił mnie w domu. Mariusz chciał zostać ze mną, ale uznałam, że to bez sensu, więc kategorycznie nakazałam mu pójść i bawić się świetnie za nas dwoje. W końcu ten projekt to był jego największy sukces!

Noc spędziłam sama, z wysoką gorączką i kapiącym z nosa katarem, otoczona stosem leków i chusteczek higienicznych. Mój mąż wrócił o siódmej rano. Właściwie Adam z Moniką przywieźli go taksówką, przyprowadzili pod drzwi i położyli do łóżka, bo sam nie był w stanie. Przez całe pięć lat naszego małżeństwa nie widziałam go tak pijanego! Chwilę później Monika poprosiła mnie do kuchni. Ledwo żywa, osłabiona wysoką temperaturą oraz niewyspaniem, zawięłam się w koc i poczłapałam za nią.

– Usiądź – powiedziała tonem zbyt poważnym, jak na osobę, która właśnie wraca z wesołej imprezy.

– Nieźle się skuł... – stwierdziłam bardziej do siebie, niż do niej, siadając na krześle przy stole kuchennym.

Monika stała.

– Słuchaj... – zaczęła mówić, ale się zawahała.

– Co się dzieje? – spytałam, przeczuwając, że nie usłyszę niczego dobrego.

– Nie wiem, czy to dobry moment...

– Na co? Mów wreszcie!

– Dobrze – powiedziała już pewniejszym tonem, siadając na krześle obok.

– Jesteśmy przyjaciółkami, dlatego muszę ci powiedzieć... Wszystko...

Serce zaczęło mi walić, jak młot. Co ona chciała wyjawić?

– Judyta... Na tej imprezie... Tam było morze alkoholu...

– Trudno się nie domyśleć, patrząc na Mariusza...

– Nie przerywaj mi. Był alkohol i dziewczyny...

– Jakie dziewczyny?!

– Jezu! Nie wiem! To było w hotelu! Sama sobie dopowiedz, jakie tam mogły być kobiety!

– No i co z tego, że były? – Serce waliło mi coraz mocniej, szybciej...

– Mariusz... Jak już sobie tak porządnie wypił, to z tymi panienkami trochę flirtował. Szczególnie z taką jedną... Ja go od niej odganiałam, groziłam, że ci wszystko powiem, ale on miał to gdzieś!

– Co? Jak to flirtował?! Kłamiesz! Nie Mariusz! W życiu ci w to nie uwierzę!

– Judyta, to nie wszystko... Potem, nie wiem, gdzieś po północy, on nagle się zmył. Zniknął, rozumiesz?! Pomyśleliśmy z Adamem, że pojechał do domu. Zresztą, większość ludzi z firmy już się zmyło, więc przestaliśmy się nim przejmować. Bawiliśmy się sami do rana...

– No i?!

– No i rano się okazało, że on cały czas był w tym hotelu... Jedna z tych panienek powiedziała mi, że jeśli go szukam, to jest w pokoju 102. Poszłam tam... Judyta, on tam spał, w łóżku z tą laską!

– Co?! O czym ty mówisz?! Znam Mariusza lepiej niż samą siebie! Nigdy by mi czegoś takiego nie zrobił! Słyszysz?! Nigdy!

– Wiedziałam, że mi nie uwierzysz... Dlatego... Zrobiłam im zdjęcia...

Siedziałam na krześle, a może na podłodze obok krzesła, trzęsąc się i nie wiedząc, co mam o tym myśleć? Co mam zrobić z tymi informacjami? A chwilę później, ze zdjęciami, które zobaczyłam... Mąż w negliżu, a na nim jakaś naga dziewczyna. Śpią na hotelowym łóżku, przykryci tylko prześcieradłem...

Monika klęknęła obok, objęła mnie mocno, po czym wyszeptala mi do ucha:

– Judytko, tak mi przykro... Tak okropnie mi przykro...

Potem wszystko potoczyło się już bardzo szybko. Kiedy Mariusz wytrzeźwiał, próbował się tłumaczyć, udawał, że nic nie pamięta z tej nieszczęsnej imprezy. Dla mnie to był koniec. Kochałam go, ale nie potrafiłam już z nim być ani ponownie mu zaufać. Nie po czymś takim. Dałam mu kilka dni na wyprowadzkę. Prosił, błagał. Dla mnie nie było już czego wyjaśniać. Moje małżeństwo się skończyło...

Głośny dźwięk dzwonka do drzwi przywołał mnie do teraźniejszości. Uświadomiłam sobie, jak wiele się przez ten rok zmieniło. Moje, jak mi się wydawało, idealne życie legło w gruzach, a zamiast ukochanego mężczyzny w domu, pojawił się Ares. Tylko dzięki niemu i Monice nie zwariowałam. Miałam naprawdę ciężkie momenty, szczególnie na początku, ale przyjaciółka nie dała mi się załamać. Przychodziła, pocieszała, kiedy byłam w naprawdę kiepskiej formie, brała za mnie dyżury. Rozpad mojego małżeństwa, jak na ironię, bardzo nas do siebie zbliżył. To właśnie ona uświadomiła mi, że przez pięć lat żyłam w bajce, którą sama sobie wymyśliłam, najwidoczniej zaślepiona swoją

naiwnością. Musiałam przyznać jej rację. Przecież od początku mi powtarzała, że mężczyznom nie wolno ufać, a już na pewno nie ma wśród nich ideałów...

„*Rock `n` Roll*” – niebieski neon obwieszczający nazwę nowego klubu już z daleka świecił zachęcająco. Przed lokalem stała spora gromadka jakichś trzydziesto-, może trzydziestopięciolatków. Żywo dyskutowali na tylko sobie znane tematy, zaśmiewając się do rozpuku, wypalając przy tym niezliczone ilości papierosów.

– Monika, jesteś pewna, że powinnyśmy tam wchodzić?
– spytałam niepewnie.

– Oczywiście! – Pociągnęła mnie za rękę przyśpieszając kroku, jakby się obawiała, że zaraz mogę uciec.

Zawsze jej zazdrościłam przebojowości i pewności siebie.

Mijając grupkę imprezowiczów, weszłyśmy do klubu. W środku panował półmrok, ale od razu można było zauważyć, że lokal jest przepelniony. Rozglądając się dookoła, wypatrywałyśmy wolnego stolika, podziwiając przy okazji gustownie urządzone wnętrze. Ściany ozdobione były starymi, winylowymi płytami znanych grup bluesowych i rockowych z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, plakatami przedstawiającymi tychże wykonawców oraz innymi muzycznymi gadżetami. Stoliki i krzesła wykonano bardzo stylowo; z rzeźbionego drewna, a oparcia krzeseł, przypominały kształt gitar. Całość dopełniała muzyka, dochodząca z głośników, których w całym pomieszczeniu nie brakowało. Słysząc było utwór *Erica Claptona* „*Layla*”.

Tu jest fantastycznie! – pomyślałam. – Powinnam częściej wychodzić z domu!

Wreszcie znalazłyśmy wolny stolik na końcu sali, przy którym usiadłyśmy. Chwilę później podszedł do nas przystojny kelner, zwracający na siebie uwagę wytatuowanymi ramionami i długimi, gęstymi włosami, niczym prawdziwa gwiazda rocka.

Wszystko tu musi pasować, nawet kelner – uśmiechnęłam się w myślach do siebie.

Zamówiłyśmy po dużym kuflu piwa i rozsiadłyśmy się wygodniej na gitarowych krzesłach.

– Jak było dzisiaj w pracy? – spytała Monika

Spojrzałam na nią piorunującym wzrokiem.

– Naprawdę chcesz teraz rozmawiać o pracy?

Szturchnęła mnie w ramię, szybko kręcąc przecząco głową.

– Nieee!

Obie wybuchnęłyśmy śmiechem.

– Słuchaj, słyszałaś, że doktor Kolski z ortopedii przeszedł na emeryturę?

– spytała nagle.

– Monika! Miałyśmy nie rozmawiać o pracy!

– Nie, nie o to chodzi... Wyobraź sobie, że już wiem, kto zajął jego miejsce.

– No kto? – zapytałam, udając, że mnie to interesuje.

– Młody, wysoki blondyn o czarującym uśmiechu... Doktor Jarecki.

– Niech zgadnę, pewnie już go poznałaś? – Uśmiechnęłam się z przekąsem, bo znam przyjaciółkę i jej słabość do mężczyzn.

Często się zastanawiałam, cóż ona takiego ma w sobie, co przyciąga do niej tych wszystkich mężczyzn. Było prawie pewne, że jeśli już sobie jakiegoś upatrzy, niedługo będzie jej.

– Nie, jeszcze nie – zaśmiała się Monika. – Ale jestem na dobrej drodze.

– Puściła znacząco oko.

– A co z Marcinem? Wydawało mi się, że to coś poważnego?

Tak naprawdę, to wcale nie byłam zdziwiona, że Monika ma już na oku kogoś nowego. To było zupełnie w jej stylu. Odkąd ją znałam, po rozstaniu z Adamem, spotykała się już z tyloma mężczyznami, że przestałam zapamiętywać ich imiona. Wiedziałam jednak, że jeszcze do niedawna była w związku z Marcinem – miłym, przystojnym szatynem o ciemnej cerze.

– Eee, Marcin to już przeszłość. Był nudny, jak flaki z olejem. – Monika przewróciła oczami, wywalila język i zrobiła głupią minę, która miała chyba obrazować te flaki. Zaśmiałam się, a ona mówiła dalej: – To już Piotr był lepszy. Przynajmniej nie dał mi się nudzić. Pamiętasz, jak na urodziny zorganizował mi skok na *bungee*? Tak, to było coś! Takich wrażeń mi potrzeba. A Marcin? Najbardziej szalony wypad z nim to było wyjście do kina na horror! Możesz to sobie wyobrazić?

Wyłączyłam się. Monika o swoich facetach potrafiła opowiadać godzinami. Chwaliła się nimi, jak zdobyczami i tak też ich traktowała. O żadnym nie myślała na poważnie, liczyła się tylko dobra zabawa. Większość historii słyszałam już kilkakrotnie. Ale nie to było powodem, że teraz nagle przestałam słuchać. Coś odciągało moją uwagę, a właściwie ktoś. Na końcu sali siedział mężczyzna. Siedział i patrzył. Patrzył na mnie. Nie odrywał ode mnie wzroku. Zerknęłam w jego kierunku, ale szybko się odwróciłam. Poczułam się zawstydzona. Zdażyłam jednak zauważyć, że jest bardzo przystojny. Szczupły, średniego wzrostu. Miał długie, ciemne włosy związane z tyłu, pociągłą przystojną twarz i ładne, nieco smutne oczy. Oczy... Właśnie w tych oczach było coś, co mnie niepokoiło, ale nie byłam pewna co. Nie wiedzieć dlaczego, miałam wrażenie, że to spojrzenie jest mi dziwnie znajome.

– ...no więc pogoniłam go, przecież nie będę sobie marnowała życia z takim dupkiem! Judyta, czy ty mnie w ogóle słuchasz?!

– Tak, tak. Przepraszam, zamyśliłam się...

Monika spojrzała najpierw na mnie, a potem w stronę stolika nieznanego mężczyzny.

– Podoba ci się?

Spojrzałam na nią szybko i odchrząknęłam z zakłopotaniem, siadając wygodniej na krześle.

– Kto?

– Jak to kto? Ten gość, co się na ciebie gapi! – Spojrzała na mnie jakby z wyrzutem.

– Przestań, Monika...

– Przystojny jest. Podejdź do niego, zagadaj! – powiedziała szybko.

Zbyt szybko. Chyba była trochę zła, że jakiś typek mógł mnie rozkojarzyć do tego stopnia, iż przestałam słuchać jej fascynującej opowieści.

– Zwariowałaś?!

– Nie, dlaczego? Przecież widać, że na ciebie leci?! – Wyczułam w jej głosie ironię.

– Monika!

– Monika, Monika – zaczęła mnie przedrzeźniać. – Jak ci się nie podoba, to ja się mogę za niego wziąć!

Wzruszyłam ramionami na znak, że jest mi wszystko jedno.

– Jak sobie chcesz – fuknęła, poprawiając swój wydatny biust i dorzuciła niby obojętnie: – Idę po piwo.

Wstała i skierowała się w stronę baru. Zanim wróciła, ja przyciągana wzrokiem nieznanego, zerknęłam znowu w jego kierunku. Nadal się we mnie wpatrywał. Tym razem postanowiłam przez chwilę przetrzymać to spojrzenie.

Teraz ja go speszę – pomyślałam, patrząc mu prosto w oczy.

Jednak po chwili wpatrywania się w niego, odpuściłam. Uśmiechnął się, ale wzroku nie spuścił.

Wróciła Monika z dwoma kufkami zimnego piwa. Natychmiast zanurzyłam usta w jednym z nich i od razu opróżniłam połowę. Czułam się nieswojo. Byłam skrępowana i nie wiedziałam, jak mam zareagować na to dziwne zainteresowanie nieznanego mężczyzny moją osobą. Czy w ogóle mam reagować? Z drugiej strony dręczył mnie niepokój i zdenerwowanie spowodowane tą sytuacją. Poczulałam nagłe uderzenie gorąca, zaszumiało mi lekko w głowie. Nie wiedziałam, co jest tego przyczyną – wpatrujący się we mnie przystojniak czy ilość wypitego alkoholu?

Chyba powinnam zwolnić tempo picia – pomyślałam, ale natychmiast bardziej zbuntowana część mojej natury kazała mi zignorować tę myśl.

Upiłam więc następny łyk piwa, a potem jeszcze jeden. Nieświadomie zaczęłam poruszać pod stołem nogami w rytm muzyki, która przenikała do moich zmysłów, nadając sytuacji jeszcze większego znaczenia. Miałam wrażenie, że utwór „*You Know I'm No Good*” Amy Winehouse, który dobiegał właśnie z głośników, został zagrany specjalnie dla mnie. Nigdy nie czułam się „dobra”. Nie tak, jakbym chciała. Nie byłam też przyzwyczajona do zwykłego, naturalnego zainteresowania moją osobą przez przypadkowych mężczyzn. W ogóle nie miałam ich zbyt wielu. A ci, z którymi byłam okazywali się zwykłymi dupkami – tak, jak Mariusz. Przestałam mieć nadzieję na związek z normalnym facetem. Nie szukałam już miłości.

Nagle kątem oka zobaczyłam, jak nieznanomy wstaje od stolika i zmierza w naszym kierunku. Monika zaczęła się poprawiać, podkreślając tym samym wszystkie swoje atuty. Mężczyzna przeszedł obok nas, ale się nie zatrzymał.

Na Monikę nawet nie spojrział, czym ją najwyraźniej – sądząc po minie – zezłościł. Przeszedł wolno obok mnie, szturchając lekko mój łokieć i dotykając przy tym mojej dłoni. Skinął szybko głową w przepaszającym geście i się uśmiechnął. Nie wiedziałam, czy było to celowe działanie, czy też wina tłumy, który powstał wokół naszego stolika. Odpowiedź na to pytanie otrzymałam chwilę później, kiedy spojrzałam na swoją otwartą dłoń. Tę, którą przed chwilą dotknął nieznajomy. Leżała w niej mała karteczka. Drżącymi rękoma rozłożyłam ją i przeczytałam:

„Zadzwoń proszę, 6606787856, Paweł”

Miałam ochotę krzyknąć za nim, spytać, czego ode mnie chce, ale on, razem z Amy Winehouse, która po raz ostatni zaśpiewała, że „nie jest niczym dobrym”, zniknął...

PAWEŁ

„Rock `n` Roll”. Nazwa pubu od razu przyciągnęła mój wzrok.

Tutaj na pewno grają dobrą muzykę – pomyślałem, wchodząc zdecydowanym krokiem do środka.

Tego właśnie potrzebowałem – zresetować się przy kuflu piwa i dobrej muzyce. Niemal wszystkie stoliki na niewielkiej sali były zajęte, wolnych było zaledwie kilka. Usiadłem przy małym stoliczku, tuż przy samym wejściu. Zanim podszedł do mnie kelner z wytatuowanymi na ramionach wężami, mniejszym na prawym i większym na lewym, wijącym się aż w stronę piersi, zdążyłem spojrzeć na ścianę za sobą. Wisiały na niej w linii prostej trzy zdjęcia, wszystkie oprawione w drewniane ramy. Pierwsze przedstawiało Jima Morrisona z grymaśną miną niewinnego chłopca. Na zdjęciu obok widać było lekko uśmiechniętą Amy Winehouse, w krótkiej, białej sukience, przepasanej paskiem w kolorze jej charakterystycznych, bujnych, wysoko upiętych włosów. Dłonie Amy oplatały stojący przed nią mikrofon. Zdjęcie to zostało zrobione najprawdopodobniej podczas jednego z jej ostatnich koncertów. Przypomniałem sobie, że oglądałem jego retransmisję na którymś z popularnych kanałów telewizyjnych. Trzecia fotografia przedstawiała Kurta Cobaina, z gitarą w jednej ręce i papierosem

w drugiej. Były to trzy zdjęcia trojga charakterystycznych muzyków ze słynnego *Klubu 27*.

Ciekawe, jakby wyglądała kariera każdego z nich obecnie, gdyby żyli do dziś – zastanowiłem się głęboko, przypominając sobie jednocześnie, jak na swojej pierwszej gitarze grałem *covery* Morrisona.

Z zadumy wyrwał mnie kelner z węzowymi tatuażami. Zamówiłem kufel jasnego piwa i dwa tosty, bo zdałem sobie właśnie sprawę, że jeszcze dzisiaj nic nie zjadłem. Do Warszawy przyjechałem z samego rana. Niemal cały dzień spędziłem w klinice. To był ciężki dzień. Stres powodował u mnie ścisk w żołądku i co za tym idzie, brak apetytu. Ostatnio coraz częściej łapałem się na tym, że całymi dniami potrafiłem nic nie jeść. Dopiero wieczorami, kiedy zwalniałem tempo lub stres z całego dnia powoli ze mnie schodził, zaczynałem odczuwać głód. Tak było i dziś.

Spojrzałem jeszcze raz na idoli z *Klubu 27*, a potem pomyślałem o moim bracie. Przypomniałem sobie czasy, kiedy byliśmy małymi chłopcami. Właściwie już od jego urodzenia, chociaż miałem wtedy zaledwie pięć lat, jako starszy brat czułem się za niego odpowiedzialny. Zastanowiłem się teraz, jak to było od samego początku? Czy to otoczenie narzuciło mi rolę rozważnego i odpowiedzialnego chłopca, gdy tymczasem Wojtek, za przyzwoleniem wszystkich, był małym, uroczym urwisem, któremu wybaczano wszelkie przewinienia, a ja się temu podporządkowałem? Czy też sam sobie taką rolę nadałem? Ja też Wojtkowi wszystko odpuszczałem i często ratowałem go z różnych opresji. Za to on uważał mnie za niezastąpionego bohatera. To za moimi plecami mógł się czasem schować przed tarapatami, w które często wpadał i z których to właśnie ja, jego brat – bohater, zawsze wyciągałem. Uśmiechnąłem się gorzko na wspomnienie późniejszych lat.

Poważny, rozważny chłopiec... – prychnąłem.

Gdyby rodzice wtedy wiedzieli, że zabierałem ich dwunastoletniego małego synka na imprezy, gdzie alkohol lał się strumieniami...

Przełknąłem kęs tostu z serem i szynką, popijając go zimnym piwem, które w międzyczasie przyniósł „węzowy” kelner. Drzwi pubu co chwilę otwierały się i zamykały. Ktoś wychodził na papierosa, nowi goście wchodzili i albo

z niezadowoleniem kiwając głowami wychodzili widząc, że lokal jest wypełniony po brzegi a stoliki pozajmowane, albo nie tracąc nadziei szukali wolnych miejsc. Niektórzy z nich dosiadali się do częściowo zajętych stolików. To pewnie jedno z lepszych miejsc w okolicy. Rzeczywiście, jest tu bardzo klimatycznie. Kończąc swoją śniadano-obiado-kolację, obserwowałem ludzi przewijających się przez drzwi wejściowe do klubu. W pewnym momencie w drzwiach pojawiły się dwie kobiety w średnim wieku. Były tak różne, że aż do siebie nie pasowały. Jedna z nich wyzywająco ubrana, mocno umalowana, w krótkiej mini spódniczce i bluzeczce, odkrywającej niemal cały biust, z burzą blond loków na głowie. Typ laski na jedną noc. Druga, to zupełne przeciwieństwo pierwszej. Niebieskie jeansy i czarny, prosty, aczkolwiek bardzo gustowny T-shirt z lekko widocznym białym nadrukiem. Niemal niewidoczny makijaż i długie, ciemne, proste włosy. Wyglądała skromnie i przyjemnie dla oka.

Obserwowałem, jak szukają wolnego stolika. Zauważyłem, że długowłosa jest nie tylko naturalnie piękna, ale też porusza się z ogromnym wdziękiem. Powabnie i bardzo kobieco.

Niesamowita... – pomyślałem.

Znalazły stolik na końcu sali. Pub nie był duży, więc miałem doskonały widok na dziewczyny. Interesowała mnie tylko jedna z nich. Nie mogąc oderwać od niej wzroku, zacząłem się zastanawiać czy powinienem do niej podejść i spróbować jakoś zagadać. Po chwili namysłu stwierdziłem jednak, że to nie najlepszy pomysł. Przede wszystkim to nie jest dobry czas. Teraz muszę się skupić na Wojtku, po to tu przyjechałem. Swoje prywatne sprawy powinienem odłożyć na później. Poza tym, obawiałem się, że mógłbym się wygłupić.

Wpatrując się w zjawiskową dziewczynę, upiłem łyk piwa i zrobiłem sobie w myślach szybkie podsumowanie mojego dotychczasowego życia uczuciowego. Nie wypadło najlepiej. Pomimo moich niemal pięćdziesięciu lat na karku, nie spotkałem jeszcze kobiety swojego życia. Właściwie, pomijając mój pięcioletni związek z Joanną, z żadną nie byłem dłużej niż kilka miesięcy. Wieczny chłopiec. Uśmiechnąłem się na pewne wspomnienie – czasu, kiedy zespół rockowy „*Black Tiger*”, w którym swego czasu grałem na gitarze prowadzącej, był u szczytu kariery. Był to okres, kiedy spełniałem się najlepiej. Robiłem co

kochałem i w dodatku zarabiałem na tym niezłe pieniądze. Jedynym minusem tych kilkunastu lat było to, że nigdy nie miałem czasu na założenie rodziny. Ale też nie czułem takiej potrzeby. To oznaczałoby zamach na moją wolność. Moją rodziną byli koledzy z zespołu. Niestety, nasza świetna kariera zakończyła się tak samo szybko, jak się rozpoczęła. Rynek muzyczny okazał się okrutny. Kiedy liczba koncertów drastycznie zmalała, a sprzedaż płyt można było porównać do sprzedaży krążków debiutujących kapel znikąd, musieliśmy zawiesić działalność. Skończył się złoty czas wiecznie młodych chłopców rock `n` roll-a...

Teraz, patrząc na kobietę w czarnym T–shircie, poczułem jakieś nieopisane ciepło na duszy. Pomyślałem, że dobre czasy mogą jeszcze powrócić. Nie takie same, ale równie dobre.

Wydawało mi się, że ona też co jakiś czas zerknęła w moją stronę. Przez chwilę nasze oczy się spotkały i patrzyliśmy na siebie dłuższą chwilę bez mrugnięcia. Ten moment pobudził wszystkie moje zmysły. Starałem się zapamiętać każdy szczegół jej twarzy. Niebieskie tęczęwki, mały zgrabny nosek, lekko widoczne, dodające uroku zmarszczki mimiczne wokół oczu i kącików pełnych ust. Zastanawiałem się, ile może mieć lat. Na pewno jest ode mnie młodsza, pewnie nie ma jeszcze czterdziestki.

Nagle z zamyślenia wyrwał mnie dzwonek telefonu komórkowego. Wyjąłem go z lewej kieszeni spodni i spojrzałem na niewielki wyświetlacz – Wojtek. Wiedząc, że to może być ważne, zbiłem sygnał i napisałem krótkiego SMS-a:

„Oddzwonię.”

Musiałem najpierw coś załatwić. Z drugiej kieszeni wyjąłem mały notes, z którym nigdy się nie rozstawałem. Wyrwałem jedną kartkę i szybko napisałem na niej krótką wiadomość. Tym razem nie do brata, a do osoby, która, miałem takie przeczucie, może niedługo zająć bardzo ważne miejsce w moim życiu. Złożyłem karteczkę na pół, dopiłem piwo, wstałem od stolika i skierowałem się na drugi koniec pubu. Będąc przy stoliku nieznajomej o czarnych włosach, trąciłem ją lekko, w efekcie dotykając jej dłoni. Zrobiłem to celowo, aczkolwiek można było to uznać za przypadkowe muśnięcie. Wsunąłem w jej dłoń liścik z wiadomością, zauważając przy okazji, że dziewczyna nie nosi obrączki. Uznałem to za dobry znak.

Mam nadzieję, że zadzwonisz. Będę czekał – pomyślałem, patrząc jej prosto w oczy, czując między nami niewidzialną nić porozumienia i.... Chyba coś więcej...

Uśmiechnąłem się do niej, a potem szybkim krokiem poszedłem w stronę drzwi wyjściowych, jednocześnie zastanawiając się, co mogło się stać, że Wojtek dzwonił o tak późnej porze.

Odebrał po pierwszym sygnale, atakując mnie potokiem słów:

– Zabierz mnie stąd, proszę! Dlaczego mi to robisz? Nie jestem wariatem tak, jak oni wszyscy! Przyjedź i zabierz mnie stąd!

Westchnąłem cicho i powiedziałem do telefonu najspokojniej, jak potrafiłem:

– Uspokój się, braciszku... Oczywiście, że nie jesteś wariatem! Nikt tak nie myśli! Rozmawialiśmy o tym...

– Przyjedź tu i mnie zabierz!

Potarłem skronie, próbując w ten sposób zebrać myśli.

– Wojtek... Jest noc, spróbuj zasnąć. Przyjadę jutro i wtedy spokojnie porozmawiamy...

– O czym ty chcesz rozmawiać? Dla mnie jest wszystko jasne. Nie chcę tutaj dłużej być! Rozumiesz?

– Tak... Rozumiem... Nie rozumiem jednak, skąd ta nagła decyzja. Czy coś się wydarzyło?

– Paweł, jestem tu już od miesiąca! Całkiem sam...

– Już nie jesteś sam... Jestem z tobą i zostanę tak długo, jak będzie trzeba...

– Wciąż pocierana przeze mnie skóra na skroniach zaczynała boleć, a myśli i tak nie byłem w stanie poskładać, więc przestałem. – Przecież wiesz, że nie mogłem wcześniej przyjechać... Braciszku...

– Zostawiłeś mnie tutaj, żeby mieć święty spokój! Żeby inni się mną zajęli. Najpierw cię nie było, a jak już przyjechałeś, to też cię nie ma, kiedy cię potrzebuję! Nawet telefonu nie odbierasz!

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Miał rację. Tak, zostawiłem go w klinice, żeby inni się nim zajęli, ale to nie tak, jak on myśli. To nie dlatego, że mam go dosyć. Już dawno zdałem sobie sprawę, że potrzebuje profesjonalnej pomocy. To, co się z nim dzieje, to nie zwykłe ataki nerwowe czy mijające stany depresyjne.

Wojtek ma większy problem. Problem, który z czasem nabierał coraz większych rozmiarów i z którym on sam sobie nie poradzi, a ja już nie potrafię mu pomóc. Całe życie czułem się za niego odpowiedzialny i teraz też tak było. Często podejmowałem za niego różne decyzje. Dlatego teraz również do mnie należało podjęcie decyzji o terapii, a co za tym idzie, o umieszczeniu go w najlepszej klinice psychiatrycznej w kraju. Zanim do tego doszło, długo rozmawialiśmy. Wy tłumaczyłem mu, że tak będzie najlepiej. Tłumaczyłem tak długo, aż sam przyznał, że to dobry pomysł i wyraził zgodę. Teraz najwyraźniej zmienił zdanie. Albo po prostu chciał we mnie wzbudzić wyrzuty sumienia. I świetnie mu się to udawało. Często obwinałem się o złe stany psychiczne brata. Obawiałem się, że to właśnie mój tryb życia i to, że wciągałem go w to wszystko od młodych lat, tak wpłynęło na jego późniejsze życie.

Zepsułem go – myślałem...

Zamknąłem zmęczone oczy, potarłem je palcami, pograżając się głębiej w rozpaczliwych myślach.

Braciszku, zawiodłem... Kiepski ze mnie bohater. Zmarnowałem ci życie łudząc się, że jestem w nim dla ciebie najlepszym oparciem. A teraz, kiedy nie potrafię ci pomóc, zamknąłem cię w klinice dla czubków...

– Paweł, jesteś tam?

– Tak braciszku, jestem... Przepraszam... Masz rację... Zawiodłem po całości... Sam już nie wiem, co robić. Chcę ci tylko pomóc, a nie wiem jak... Jeśli chcesz, zabiorę cię stamtąd jutro z samego rana. Wracamy do domu...

Po drugiej stronie nastąpiła przesywająca cisza, a potem Wojtek cicho powiedział:

– Nie, nie zawiodłeś... Jesteś najlepszym bratem, jakiego można sobie wymarzyć... To ja przepraszam... Po prostu sobie nie radzę... Ze sobą... Wiem, że mam problem... I wiem, że gdybyś potrafił, rozwiązałbyś go, ale... To nie takie proste... Zostanę tutaj jeszcze kilka dni... Bardziej już chyba nie zwariuję...

Wydawało mi się, że słyszę jego cichutki śmiech, a może to tylko szum telefonu? Odetchnąłem z niewielką ulgą.

Kochany gnojek... – pomyślałem, uśmiechając się do siebie.

– Kocham cię, gówniarzu, wiesz?

– No, no, tylko bez takich! A swoją drogą, dlaczego nie odebrałeś od razu?

– Byłem w pubie.

– Sam?

– Tak, sam, przecież tu nikogo nie znam. Ale wiesz... Chyba kogoś poznałem... Chociaż „poznałem” to trochę za dużo powiedziane.

– Kogo?

– Opowiem ci jutro, na dzisiaj mam już za dużo wrażeń. Chcę się położyć i przemyśleć parę spraw, OK?

– Dobra, przyjedź jutro. Będę czekał...

W pokoju hotelowym wziąłem tylko szybki prysznic i od razu wskoczyłem do łóżka. Wyczerpujący dzień dał mi się we znaki. Wydarzyło się dzisiaj tak dużo. Chciałem jeszcze trochę pomyśleć, ale kiedy przymknąłem oczy, natychmiast pogrążyłem się w błogim śnie...

Śniła mi się dziewczyna z pubu. Biegała po plaży, co chwilę odwracając się w moją stronę. Śmiała się do mnie. Potem, już razem, biegliśmy przed siebie. Boso, po rozgrzanym piasku. Szatynka, ściskając za dłoń, ciągnęła mnie w kierunku morza, które nagle pojawiło się na horyzoncie. Byliśmy sami, zupełnie nadzy... Cały świat należał tylko do nas! Wbiegliśmy do chłodnej morskiej wody. Fale łaskotały nasze nagie ciała. Nagle odwróciła się i spojrzała mi prosto w twarz. Wypuściła z uścisku moją dłoń, która natychmiast powędrowała w kierunku jej twarzy, szyi, a potem coraz niżej i niżej... Gładziłem delikatne gładkie ciało, a moje głodne oczy napawały się jego widokiem. Kiedy dotknąłem jej aksamitnych, brzoskwiniowych piersi, przestała się śmiać, a ja poczułem, jak mocno biło serce kobiety. Spojrzeliśmy po sobie wygłodniałym z pożądania wzrokiem. Nasze usta spotkały się w trwającym nieskończoność, namiętym pocałunku. Chwilę później leżeliśmy opleceni swoimi żądnymi miłości ciałami... I wtedy, z tego cudownego snu wytrącił mnie dźwięk budzika, bezlitośnie przywracając do rzeczywistości...

ZACHĘCAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI KSIĄŻKI!